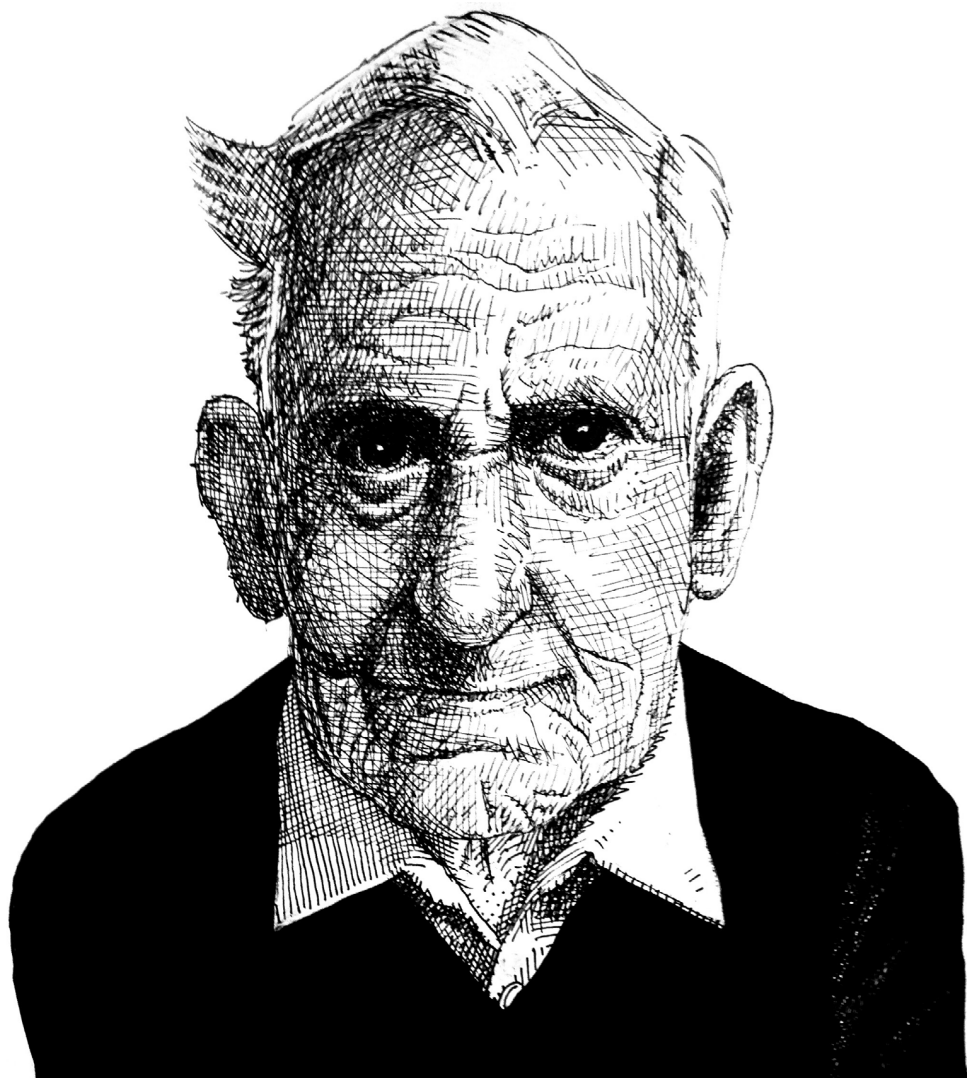


Małe eksperymenty ze szczęściem

Sekretny dziennik
Hendrika Groena, lat 83 i ¼



Wtorek, 1 stycznia 2013

W tym roku też nie będę lubił staruszków. To dreptanie z balkonikami, zniecierpliwienie bez powodu, wieczne narzekania, ciasteczka do herbaty, całe to wzdychanie i stękanie.

Sam mam lat 83 i $\frac{1}{4}$.

Środa, 2 stycznia

Wysypało się dużo cukru pudru. Żeby go zetrzeć ściereczką, pani Smit zdjęła ze stołu półmisek z rożkami z nadzieniem jabłkowym i postawiła na krześle.

Przyszła pani Voorthuizen, usiadła swoim wielkim dupskiem na rożkach i nawet tego nie zauważyła.

Dopiero kiedy pani Smit zaczęła szukać półmiska, żeby z powrotem postawić go na stole, ktoś wpadł na pomysł, by zajrzeć pod panią Voorthuizen. Kiedy wstała, trzy rożki miała przyklejone do sukienki w kwiatki.

– Pięknie się komponują – powiedział Evert, a ja o mało się nie udusiłem ze śmiechu.

Tak wspaniały początek roku w zasadzie powinien prowadzić do wybuchu ogólnej wesołości, tymczasem stał się powodem prawie czterdziestopięciominutowej kłótni na temat tego, kto jest winny. Niektórzy zaczęli patrzeć na mnie z ukosa, pewnie dlatego, że najwyraźniej mnie to rozbawiło. No więc zacząłem bąkać przeprosiny.

Zamiast śmiać się jeszcze głośniejsze, bąkałem jakieś durne przeprosiny!

Bo ja, Hendrikus Gerardus Groen, staram się być zawsze w porządku, staram się być uprzejmy i pomocny. Nie dlatego, że taki właśnie jestem, ale dlatego, że tak wypada. Rzadko kiedy mówię to, co myślę. Zawsze wybieram bezpieczną drogę. Moja specjalność: żeby wilk był syty i owca cała. Moi rodzice musieli być bardzo przewidujący, skoro dali mi na imię Hendrik – grzeczniej już by się chyba nie dało.

– Znacie tego Hendrika, który zawsze tak gorliwie uchyla kapelusza, kiedy nas mija?

To właśnie ja.

Pomyślałem sobie, że jak tak dalej pójdzie, to z własnej winy wpędzę się w depresję. No i zdecydowałem, że pozwolę dojść do głosu prawdziwemu Hendrikowi Groenowi. Otóż przez cały jeden rok będę zapisywał moje nieocenzurowane spostrzeżenia z życia w domu spokojnej starości w dzielnicy Amsterdam Noord.

Zrobiłem zapis w testamencie, że jeśli umrę przed upływem roku, mój przyjaciel Evert Duiker odczyta na pogrzebie wybór fragmentów tego dziennika. Kiedy już będę leżał na marach w małej salce krematorium, starannie umyty i ogolony, niezręczną

ciszę ma przerwać chropowaty głos Everta, który odczyta oniemiałej publiczności kilka co grzeczniejszych fragmentów.

Martwię się tylko o jedno: co będzie, jak Evert umrze pierwszy?

To nie byłoby ładnie z jego strony, zwłaszcza że mam więcej chorób i obrzęków niż on. W końcu człowiek powinien móc liczyć na najlepszego przyjaciela. Pogadam z nim.

Czwartek, 3 stycznia

Evert bardzo się do tego zapalił, ale nie mógł mi zagwarantować, że mnie przeżyje. Miał też pewne zastrzeżenia. Po pierwsze, powiedział, że po odczytaniu fragmentów dziennika prawdopodobnie musiałby poszukać sobie innego domu opieki. Po drugie, martwił go stan jego sztucznej szczęki, który wiąże się z tym, że Vermeteren nie obchodzi się zbyt ostrożnie z kijem bilardowym. Od kiedy Vermeteren ma zaćmę na prawym oku, potrzebuje pomocy przy celowaniu. Evert, który zawsze jest skory do pomocy, ustawił się za nim i z nosem gdzieś na wysokości stołu dawał mu wskazówki.

– Troszkę na lewo, jeszcze odrobinę niżej i... – Zanim zdążył skończyć, Vermeteren walnął tylnym końcem kija prosto w środek sztucznej szczęki Everta. Karambol!

Wygląda na to, że Evert będzie musiał ją zmienić. Ledwie można go zrozumieć, tak sepleni. Protezę trzeba naprawić, żeby mógł czytać na moim pogrzebie. Z tym że teraz, cholera, nie ma za bardzo jak, bo nasz protetyk cierpi na wypalenie zawodowe. Dwieście kawałków rocznie, asystentka jak marzenie, trzy razy do roku na Hawajach, a i tak zestresowany. Jak to możliwe?

Może miał już dosyć tych wszystkich sztucznych szczęk z resztkami jedzenia, które czasem były tam od tak dawna, że aż się w nich wykoczyły robaki? Że tak powiem.

Posylwestrowe oliebollen*, które podają na dole w świetlicy, w tym roku musieli kupić w jakimś second-handzie albo co. Wczoraj rano wziąłem z uprzejmości taką jedną kulkę i żułem ją ze dwadzieścia minut, aż w końcu, udając, że rozwiązało mi się sznurowadło, zanurkowałem pod stół i włożyłem ostatni kawałek do skarpetki.

Nic dziwnego, że są tego jeszcze całe półmiski. Normalnie wszystko, co tu dają gratis, znika w sekundę.

W świetlicy zazwyczaj o 10.30 serwują kawę. Wystarczy, żeby było dwie po wpół, zanim jeszcze postawią kawę na stole, a już pierwsi pensjonariusze zaczynają znacząco popatrywać na zegarki. Zupełnie jakby mieli co innego do roboty. To samo dotyczy herbaty, która powinna być podana o 15.15.

Jedno z najbardziej intrygujących pytań dnia brzmi: Jakie dzisiaj podadzą ciasto? A więc wczoraj i przedwczoraj do kawy i herbaty oliebollen sprzed wieku. Bo „u nas” oczywiście nie ma mowy o wyrzucaniu jedzenia. Już lepiej się nim udławić.

Piątek, 4 stycznia

Wczoraj zrobiłem sobie spacer do sklepu ogrodniczego i kupiłem opakowanie cebulek. Za jakiś tydzień, kiedy wykiełkują

* Tradycyjne holenderskie ciasto podawane na sylwestra; nieforemne kulki z ciasta drożdżowego z rodzynekami i kawałkami jabłka, smażone w głębokim tłuszczu, posypane cukrem pudrem.

z nich hiacenty, będę miał swoją własną wiosnę.

W większości pokoi tego ośrodka jeszcze w kwietniu można zobaczyć świąteczne wianki obok starych jak świat sansewierii i zdychających prymulek. Wszystko pod hasłem: „Grzech wyrzucić”.

Jeśli przyroda w ogóle odgrywa jakąś ożywczą rolę w życiu człowieka, to na pewno nie w salono-sypialni holenderskiego staruszka. Tam bowiem sytuacja rośliny pokojowej stanowi dokładne odwzorowanie sytuacji jej opiekuna: czekanie na smutny koniec. Ponieważ taki człowiek nie ma nic innego do roboty, a poza tym jest przeważnie zapominalski, to podlewa roślinę trzy razy dziennie. A czegoś takiego nawet sansewieria długo nie wytrzyma.

Pani Visser zaprosiła mnie na jutro przed południem na herbatę. Powinienem odmówić już choćby dlatego, że od niej zalatuje, ale powiedziałem, że chętnie zajrzę. I w ten sposób pół dnia mam z głowy. Boże, jaka ze mnie jednak ciamajda! Kiedy przychodzi co do czego, nie mam na podorędziu żadnej wymówki, więc czeka mnie gadanie o bzdurach i czerstwe ciasto. Jak jej się to udaje, że nawet najbardziej wilgotne ciasto w krótkim czasie zmienia się u niej w twardą tekturę, jest dla mnie prawdziwą zagadką. Na jeden kawałek trzeba wypić trzy filiżanki herbaty. Postanowiłem, że jutro się nie dam i odmówię drugiego kawałka. Zaczynam nowe życie.

Nowe życie w wyglansowanych do połysku butach. Spędziłem na tym cały poranek. Z samymi butami poszło mi całkiem gładko – najwięcej czasu zajęło mi usuwanie resztek pasty z mankietów koszuli. Ale teraz błyszczą jak złoto. Znaczą się buty. Co do mankietów, to je po prostu podwinąłem. Tego wyprać się nie da.

Już słyszę to gadanie: „Czym pan sobie zawsze brudzi te mankiety, panie Groen?”.

Życie tutaj składa się wyłącznie z „nigdy” albo „zawsze”. Jednego dnia jedzenie „nigdy nie jest na czas i zawsze za gorące”, a drugiego „zawsze podają za wcześnie i nigdy nie jest ciepłe”.

Zdarzało mi się, że zwracałem komuś uwagę na sprzeczność z tym, co mówił poprzednio, ale na logikę nie ma tu co liczyć.

– A pan to zawsze wie wszystko lepiej, panie Groen.

Sobota, 5 stycznia

Wczoraj przy kolacji znowu święto: w jadłospisie było nasi goreng, czyli smażony ryż po indonezyjsku. Większość tutejszych starych chłopców i dziewczynek to zatwardziali tradycjoniści, jakieś egzotyczne wygibasy nie mają u nich szans. Odpadli już wtedy, gdy w Holandii pojawiło się spaghetti, czyli gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych. Po prostu nie pasowało im to do schematu: w poniedziałek endywia, we wtorek kalafior z kaszką na mleku, w środę mielone, w czwartek fasolka szparagowa, w piątek ryba, w sobotę zupa z chlebem, a w niedzielę rostbef. Jeśli chcieli zrobić coś szalonego, to jedli we wtorek mielone, przez resztę tygodnia nie mogli wyjść ze zdumienia, że się na to odważyli.

Zagraniczne wymysły to nie dla nas. Najczęściej możemy wybierać już tydzień wcześniej jeden z trzech różnych jadłospisów, ale czasem zdarza się, że coś pójdzie nie tak. Wczoraj na przykład z niewiadomych powodów było tylko nasi goreng. Ktoś musiał pomylić dostawę albo coś w tym rodzaju. Na pewno nie była to

wina naszego kucharza.

No więc mogliśmy wybierać z nasi goreng. Ci, co są na diecie, dostali chleb.

Fala oburzenia. Pani Hoogstraten van Dam, która upiera się, żeby tak właśnie się do niej zwracać, wydłubywała tylko kawałki smażonego jajka, van Gelder powiedział, że „nie będzie żał jakiegoś nasi goreng”; wybrał tylko cały kartofel i zjadł go z solą, a gruby Bakker podniesionym głosem zażądał do ryżu sosu.

Mój przyjaciel Evert, który czasem, jak ma dosyć swoich własnych wyczynów kulinarnych, je z nami, zaproponował swoim niczego niepodejrzewającym współbiesiadnikom piekielnie ostry indonezyjski sos sambala, ze słowami:

– A może trochę keczupu?

Potem udawał głupiego, kiedy pani De Prijker tak się rozkaszała, że wypluła sztuczną szczękę do sałatki. Trzeba ją było wyprowadzić, bo rzeziła, jakby miała zaraz wyzionąć ducha, a chwilę potem Evert chodził od jednej osoby do drugiej z jej sztuczną szczęką jak ze szklanym pantofelkiem Kopciuszka. I udawał urażoną niewinność, kiedy oddziałowa wezwała go na dywanik. Groził nawet, że zgłosi wszystko do inspekcji sanitarnej, bo sztuczną szczękę w sałatce rzekomo „znalazł” przypadkiem.

Przed kolacją byłem na herbacie u pani Visser. Jej paplanina jest jeszcze gorsza niż jej herbata. Powiedziałem, że doktor zakazał mi jedzenia ciasta. A dlaczego? Skłamałem, że cukier mi podskoczył. Z tego wszystkiego musiałem wziąć ze sobą całe trzy kawałki ciasta, żebym miał na później, jak mi poziom cukru znowu spadnie. Leżą teraz w akwarium na trzecim piętrze.

Niedziela, 6 stycznia

Zaczynam coraz bardziej popuszczać. Białe majtki znakomicie nadają się do tego, żeby żółte plamy były na nich świetnie widoczne. Żółte majtki byłyby bardziej wskazane. Okropnie się wstydzę tych pań z naszej pralni. Teraz robię więc tak, że sam, zanim oddam bieliznę, ręcznie spieram te najgorsze plamy. Można powiedzieć, że to takie pranie przedprzedwstępne. Jeślibym całkiem przestał dawać rzeczy do prania, wzbudziłoby to podejrzenia.

– Na pewno włożył pan czystą bieliznę, panie Groen? – spytałaby ta gruba pani z personelu sprzątającego.

– Nie, gruba pani z personelu sprzątającego, te gacie tak mi już przyrosły do mojego starego dupska, że będę je nosił do końca życia – miałbym wtedy ochotę odpowiedzieć.

Dzisiaj jest trudny dzień: ciało skrzypi we wszystkich zawiasach. Jest coraz gorzej i nie da się tego powstrzymać. Człowiek ma najwyżej jeden lepszy dzień, kiedy to czy owo mniej mu dolega, ale żeby tak się czuć naprawdę dobrze... Takie coś już się nie zdarza. Nie ma mowy, żeby nagle odrosły człowiekowi włosy. Przynajmniej nie te na głowie, bo w nosie i w uszach krzaczory aż miło. Żyły też się nagle same nie przetkają. Guzy nie znikną, a ten kran na dole nie przestanie kapać. To droga jednokierunkowa do trumny. Nigdy już człowiek nie będzie młodszy, ani o jeden dzień, jedną godzinę czy choćby minutę.

Zaczynam gderać jak jakiś staruch. Skoro już mam na to ochotę, to lepiej od razu zejść na dół do świetlicy. Dla tych, co tam siedzą, to rozrywka numer jeden. Nie pamiętam, by minęło

więcej niż pół godziny, żeby ktoś nie zaczął gadać o jakiejś chorobie.

Coś mi się wydaje, że nie jestem w najlepszym nastroju. Wszyscy myślą sobie, że człowiek stary to ma dobrze, bo nic nie musi, ale to, cholera, nie do końca tak jest.

Czas na spacerek, w końcu jest niedzielne południe. Potem trochę Mozarta przy solidnym kieliszku koniaku. Może jeszcze wpadnę na chwilę do Everta, bo ta jego głupota ma znakomite właściwości terapeutyczne.

Poniedziałek, 7 stycznia

Wygląda na to, że wczoraj zaczęło się śledztwo w sprawie nagłej śmierci rybek w akwarium na trzecim piętrze. W wodzie ciągle jeszcze pływało mnóstwo rozmokniętego ciasta.

Chyba głupio zrobiłem, wrzucając ciasto od pani Visser do akwarium. Jeśli dojdzie do jej uszu, że rybki pozdychały od nadmiaru mokrego ciasta, to ślad będzie prowadził prościutko do mnie. Muszę jakoś przygotować się do obrony. Chyba trzeba będzie zasięgnąć rady Duikera. To prawdziwy spec, jeśli idzie o kłamstwo w dobrej wierze.

W naszym ośrodku nie wolno trzymać zwierząt domowych, z wyjątkiem rybek i ptaków „nie większych niż dwadzieścia centymetrów”, jak jest napisane w regulaminie. Pewnie na wypadek, gdyby ktoś z nas chciał hodować rekina albo orła bielika.

Nie jeden właściciel zwierzaka bardzo cierpiał, kiedy w momencie przyjęcia do naszego Domu Zagłady bez litości kazali mu się pożegnać z psem czy kotem. Obojętnie, jak spokojne i

posłuszne, stare czy schorowane były czworonogi – przepis to przepis: do schroniska.

– Nie, proszę pani, to nie ma znaczenia, że Reksio to jedyne stworzenie na świecie, na którym pani zależy. Nie możemy robić wyjątków.

– Nie wątpię, że pani kotka nie robi nic innego, tylko całymi dniami wyleguje się na parapecie, ale jeśli pozwolimy pani ją zatrzymać, zaraz ktoś będzie chciał mieć tu ze sobą trzy dogi, które też tylko leżą na parapecie. Albo fioletowego krokodyla!

Pani Brinkman to nasza rekordzistka. Udało jej się przez siedem tygodni ukrywać starego jamnika w szafce pod zlewem, zanim sprawa się wydała. Niewykluczone, że doszło do zdrady. Walczył taki na wojnie, a teraz donosi do dyrektorki na jamnika. A ona zamiast wytarzać tego faszystę, który miał to na sumieniu, w smole i pierzu, wołała deportować nieszczęsnego psa do schroniska. Czworonóg był potem przez dwa dni i zdechł z tęsknoty. A gdzie obrońcy zwierząt? – ja się pytam.

Dyrektorka uznała, że lepiej to i owo przed panią Brinkman przemilczeć. Kiedy po trzech dniach pani Brinkman trafiła na właściwy tramwaj do schroniska, jej piesek był już w ziemi.

Pani Brinkman spytała, czy kiedy ona też umrze, można będzie pochować go przy niej.

– Tego się nie praktykuje – usłyszała od razu w odpowiedzi. Jutro rano muszę iść do lekarza.

Wtorek, 8 stycznia

Na tablicy ogłoszeń przy windzie pojawiła się karteczka:

W akwarium na trzecim piętrze znaleziono duże ilości ciasta. Wskutek zjedzenia ciasta ryby w akwarium zdechły. Osoby mogące udzielić informacji na temat tego incydentu proszone są o jak najszybsze stawienie się u kierowniczkę oddziału, pani De Roos. Na życzenie gwarantujemy pełną anonimowość.

O godzinie 11.00 poczłapałem do pani De Roos. Roos znaczy róża. Dziwne zrządzenie losu, takie nazwisko. Pani Pokrzywa to i tak byłby już dla niej wielki zaszczyt.

Wydaje się logiczne, że brzydscy ludzie powinni być dla równowagi wyjątkowo grzeczni w obejściu, ale w tym wypadku jest coś dokładnie przeciwnego: prawdziwie niewzruszona ściana gburowatości.

No, ale dobra, niech będzie: pani Róża.

Powiedziałem jej, że być może mam jakieś wyjaśnienie w kwestii incydentu z ciastem, na co ona natychmiast cała zamieniła się w słuch. Mówię dalej, że nie chciałem odmówić pani Visser, która poczęstowała mnie na drogę wypiekami własnej roboty, położyłem go więc na talerzyku i zostawiłem w kąciку kuchennym na trzecim piętrze, będąc święcie przekonany, że ktoś z pensjonariuszy z wdzięcznością przyjmie nieoczekiwany prezent. Musiałem jednak ze smutkiem stwierdzić, że ciasto w niewiadomy sposób trafiło do akwarium, a mój niebieski talerzyk gdzieś zniknął.

Pani De Roos wysłuchiwała tego z nieukrywaną podejrzliwością. Czemu sam go nie zjadłem? Dlaczego akurat na trzecim piętrze? Czy ktoś może potwierdzić moje słowa?

Poprosiłem, żeby wszystko, co powiedziałem, zostało między nami. Powiedziała, że zobaczy, co się da zrobić.

Od razu poszła się dowiedzieć, jak to możliwe, że pani Visser sama upiekła ciasto. Gotowanie i pieczenie w pokojach było surowo zabronione. Chciałem jeszcze szybko dodać, że nie wiem na pewno, czy ciasto było własnej roboty, ale już było za późno: z pieczenia ciasta zrobiła się sprawa. Z pewnością stracę sympatię pani Visser, co nie było dla mnie jakąś specjalną katastrofą. Ale podejrzenia na oddziale, na którym tych podejrzeń i tak nie brakuje, będą się ciągnęły tygodniami i wszędzie będzie huczało od plotek.

Potem poszedłem do lekarza. Akurat był chory. Jeśli do poniedziałku mu nie przejdzie, przyślą zastępstwo. W nagłych przypadkach można się udać do konkurencyjnego domu starców. Niektórzy z pensjonariuszy woleliby umrzeć, niż pójść „do tego znachora z Pogodnego Zmierzchu”, żeby oglądał ich worki z kośćmi. Inni znowu z byle powodu od razu chcieliby wzywać helikopter pogotowia ratunkowego. Co do mnie, to wszystko mi jedno, który lekarz mi powie, że, jego zdaniem, niewiele da się zrobić.

Środa, 9 stycznia

Wczoraj jednak trochę się przejąłem całą tą sprawą z martwymi rybkami. Z nerwów i przez herbatę i kawę pani Visser od razu dostałem rozwolnienia. Prawie do południa przesiedziałem w toalecie ze starymi gazetami wypożyczonymi kiedyś ze świetlice.

Dla niektórych to zajęcie całodzienne. Słowo „świetlica” zupełnie nie oddaje charakteru tego, co się tam dzieje. To miejsce powinno się raczej nazywać „sala do NKO” – Narzekania,

Krytykowania, Obgadywania.

Niedawno był u mnie Evert i podczas gdy ja siedziałem w toalecie, zdał mi przez drzwi sprawę z najnowszych wydarzeń: nikt nikomu nie ufa i wszyscy widzą w sobie nawzajem potencjalnych morderców rybek. Moja nieobecność zaczęła się wydawać podejrzana. Poprosiłem Everta, żeby niepostrzeżenie rozpowiedział, że mam sraczkę, co dałoby mi jakieś alibi. Sam nie mogłem zrobić więcej, jak tylko uchylić trochę drzwi od toalety i na korytarz. Normalnie zdenerwowanie szybko ze mnie wietrzeje, ale teraz byłem na siebie naprawdę zły z powodu tego mojego gównianego wyrachowania, że się tak obrazowo wyrażę.

À propos wietrzenia – koniecznie muszę wyjść na powietrze. Po całym dniu faszerowania się węglem powinienem chyba dać radę wyjść chociaż na chwilę. Zamierzałem udać się na poszukiwanie jaskra wiosennego, bo, jak wyczytałem w gazecie i na fenologicznym portalu *Kalendarz natury*, to pierwszy sygnał, że przyszła prawdziwa wiosna. Jeśli oprócz jaskra wiosennego zobaczą jeszcze jakiś lepiężnik, trybulę leśną albo fiołek wonny, to będzie znaczyło, że wiosna jest faktem. Problem tylko w tym, że nie mam pojęcia, jak te rośliny wyglądają.

Przyroda zdecydowała się na sześciotygodniowe przyspieszenie. Zła wiadomość dla ptaków, które w tym roku postanowiły nie odlatywać do ciepłych krajów – zbliża się fala zimna.

Czwartek, 10 stycznia

Przy moim ośrodku jest bardzo przyjemny ogród. Tyle że z

niewiadomych powodów zamknięty. Zimą nikogo do niego nie wpuszczają. Pewnie zwykła nadopiekuńczość. Dyrekcja najlepiej wie, co dobre dla pensjonariuszy.

Tak więc o tej porze roku świeżego powietrza muszę zaczerpnąć gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie ośrodka. Okropne bloki z lat sześćdziesiątych. Nędzne pasy zieleni zastępujące kosze na śmieci. Można by pomyśleć, że śmieciarki służby oczyszczania miasta jeżdżą nocami po tej okolicy, nie żeby zbierać śmieci, tylko żeby wyrzucać je na ulice i trawniki. Człowiek brodzi w stosach pustych puszek, opakowań po chipsach i starych gazet. Pierwsi mieszkańcy tej okolicy niemal wszyscy wyprowadzili się już do szeregowców w dzielnicy Purmerend of Almere. Zostali tylko ci, których nie było na to stać. Zwalnijące się mieszkania zapełniły rodziny tureckie, marokańskie czy z Surinamu. To niezbyt dobra mieszanka.

Mój aktualny zasięg to mniej więcej dwa razy po pięćset metrów z ławką w połowie dystansu. Na wiele więcej nie mam siły. Świat robi się mały. Z ośrodka mam cztery różne trasy długości mniej więcej kilometra.

x

Przed chwilą był u mnie Evert. Bardzo mu się podoba to całe zamieszanie wokół martwych rybek w akwarium i ułożył pewien plan, żeby to jeszcze trochę podkręcić. Otóż dokona drugiego zamachu, tym razem z użyciem kruchych maślanych ciasteczek. Pojechał wczoraj autobusem do supermarketu parę kilometrów stąd, żeby je kupić. W naszym ośrodkowym sklepiku na pewno by go zapamiętano. Ciasteczka leżą teraz u niego w szafie. Spytałem, czy nic im tam nie grozi.

– To wolny kraj i każdy może mieć w domu tyle maślanych ciasteczek, ile chce – odpowiedział.

Trochę nie byłem pewien tych ciastek, ale to miał być taki żart, bo one są różowe. Evert spodziewa się ciekawych efektów kolorystycznych.

Sobota, 12 stycznia

Nasza dyrektorka, pani Stelwagen – na pewno nieraz jeszcze będzie o niej mowa – ogłosiła zasady wynikające z wymogów ochrony środowiska: termostaty w pokojach pensjonariuszy mogą być nastawione na nie więcej niż dwadzieścia trzy stopnie. Jeśli komuś zimno, niech włoży sweter – takie jest przesłanie. Jest u nas jedna pani z Indii, która nastawia sobie temperaturę na dwadzieścia siedem stopni. W pokoju ma mnóstwo misek z wodą, żeby była duża wilgotność. Jej tropikalne rośliny rosną jak szalone. Na razie nie ma jeszcze przepisu regulującego wysokość roślin trzymanych w pokoju, ale jestem pewien, że pani Stelwagen już nad tym pracuje.

Pani Stelwagen jest zawsze bardzo uprzejma, każdego wysłucha i dla każdego ma dobre słowo, ale pod tą warstwą pozornej życzliwości kryje się niezdrowa porcja arogancji i żądy władzy. Ma czterdzieści dwa lata i od półtora roku jest szefową ośrodka, ale zawsze toruje sobie drogę podlizywaniem się albo gnojeniem, w zależności od tego, kogo ma przed sobą. Obserwuję ją uważnie już od roku.

Mam też bardzo ważną informatorkę: to jej sekretarka, pani Appelboom. Anja Appelboom przez dwadzieścia trzy lata była

sekretarką poprzedniego dyrektora, pana Lemaire'a, który nie przetrzymał ostatniej fali zmian i poszedł na wcześniejszą emeryturę. Pani Appelboom zostało jeszcze dwa lata do emerytury i powzięła mocne postanowienie, że nie da się nowej dyrektorce, która zatrudniła nową kierowniczkę sekretariatu, a ją przesunęła na niższe stanowisko. Anja ciągle ma dostęp do wszystkich akt i poufnych dokumentów. Parę lat temu była moją sąsiadką i dzięki niej nie zostałem bezdomnym, bo pomogła mi dostać miejsce w ośrodku. Ale o tym może później.

W czwartkowe wieczory często chodzę do niej na kawę. W tym czasie dyrektorka i nowa kierowniczka sekretariatu uczestniczą w zebraniach dyrektorów z dyrektorem regionalną. Zostać dyrektorem regionalną to kolejny szczebel, który marzy się pani Stelwagen.

Przy kawie rozmawiamy z Anją również o takich sprawach.

– Czy ty wiesz, co ona znowu zrobiła? – mówi często Anja, a potem daje upust swojemu oburzeniu w związku z manipulacjami pani Stelwagen.

To i owo już na nią zebraliśmy.

Niedziela, 13 stycznia

Wczoraj wieczorem Evert wrzucił do akwarium na drugim piętrze sześć różowych ciasteczek. Złote rybki naźarły się jak bąki i potem zdechłe truchła pływały w resztkach ciasteczek. W ośrodku rozpełtało się piekło.

W czasie wieczornej kawy Evert urwał się niby do toalety, wszedł po schodach na górę, rozejrzał się dobrze, czy nikt go

nie widzi, i wrzucił do wody ciasteczka, które przemycił pod marynarką. Plastikową torebkę cisnął grzecznie do kosza na śmieci, co z dowodowego punktu widzenia było trochę głupie, ale na szczęście sprzątaczką niedługo potem opróżniła wszystkie kosze.

Akwarium stoi w dość ciemnym kącie, więc wczoraj wieczorem nikt nic nie zauważył. Operacja nie była tak całkiem pozbawiona ryzyka, bo gdyby go przyłapano, to od razu mógłby dzwonić do firmy od przewodzących. Ale może w gruncie rzeczy jest mu wszystko jedno, czy go złapią, czy nie, bo gdyby znalazł się w opałach, i tak twardo wyparłby się wszystkiego i kłamał jak najęty. Jego filozofia: życie to nic innego jak zabijanie czasu w najprzyjemniejszy sposób, jak tylko się da. Z taką postawą łatwo zachować luz. Zazdroszczę mu. Ale szybko się uczę.

Jeśli o mnie chodzi, to byłem wczoraj wieczorem okropnie zdenerwowany, ponieważ Evert uprzedził mnie o swoim zamachu, żebym miał czas zadbać o żelazne alibi. Nie było tak najgorzej. Musiałem poczekać w świetlicy, aż dwoje pensjonariuszy z mojego piętra postanowiło iść już na górę.

– Zabiorę się z wami – powiedziałem. – Miło się razem przejść.

Pan i pani Jacobsowie popatrzyli na mnie trochę zdziwieni.

Rano, parę minut po dziewiątej, wszczęto alarm. W drodze do kościoła pani Brandsma zobaczyła, że rybki pływają do góry brzuchami. Chyba nawet podjęto próbę niedopuszczenia do tego, żeby się to rozniosło po ośrodku, ale pani Brandsma po drodze do dyżurnej pielęgniarki rozpowiadała to każdemu, kogo spotkała. Więc zaraz potem zapukał do mnie sąsiad z wiadomością:

– Nie uwierzy pan, co właśnie usłyszałem...

Już się nie mogę doczekać tych rozmów przy kawie.